



Dawid Juraszek

小龙

Xiao Long

Jedwab i porcelana

BIAŁY TYGRYS

TOM I

RW2010

DAWID JURASZEK
JEDWAB I PORCELANA
Tom I
BIAŁY TYGRYS

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2013

Okładka Copyright © Mateo 2014

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-013-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

Rozdział I	
w którym świeżo upieczony bakałarz Xiao Long ulega własnym namietnościami i pakuje się w cudze kłopoty.....	5
Rozdział II	
o tym, jak Xiao Long stanął przed obliczem gubernatora Czerwonego Tygrysa i za co został sprzed tego oblicza usunięty.....	14
Rozdział III	
o tym, co ukazało się Xiao Longowi w tajemniczym śnie i w strasliwym kotle.....	22
Rozdział IV	
w którym nieostrożni eunuchowie toczą zbyt głośne rozmowy, Czerwony Tygrys wpada w gniew, mnich Gan Bao dokonuje rzeczy zdumiewających, a w ręce bakałarza trafia niezwykle przedmiot.....	26
Rozdział V	
o tym, jak Xiao Long wziął na swe barki niełatwe zadanie i jak udał się z nim borykać na Świętą Górę.....	36
Rozdział VI	
o tym, jak Xiao Long znalazł makabryczne zwłoki i szukał wyjaśnienia zagadki, a także o tym, jak ukazały mu się nowe okoliczności.....	44
Rozdział VII	
o tym, jak Xiao Long zadawał pytania, ale nie usłyszał odpowiedzi.....	52
Rozdział VIII	
o tym, jak niezrozumiały sen i nieznajomy mnich dają Xiao Longowi wskazówki.....	55
Rozdział IX	
w którym Xiao Long szuka odpowiedzi u pustelnika, a znajduje ukojenie w gorzałce.....	59
Rozdział X	
o tym, co się Xiao Longowi przyśniło, i o tym, jak przechytrzył Najwyższego Kapłana.....	66
Rozdział XI	
w którym Xiao Long używa ukrytego miecza i tajemnego dekoktu, a także spotyka Króla Gór.....	74
Rozdział XII	
w którym Xiao Long walczy ze śmiercią, śni brzemienno w znaczenia sen i słucha przepowiedni.....	84
Rozdział XIII	
w którym Xiao Long doświadcza niemiłych konsekwencji swych czynów, a widzi też ich konsekwencje strasliwe.....	90
Rozdział XIV	
o tym, jak Xiao Long żegnał krewnego, a także o tym, jak trafił pod pieczę mistrza Qinga, co żadnemu z nich nie poszło w smak.....	95
Rozdział XV	
o tym, jak Xiao Longowi się spało, jadło i pisało pod okiem mistrza Qinga.....	100
Rozdział XVI	
w którym Xiao Long wreszcie się najadł, a także odkrył okropną tajemnicę światła w domu mistrza Qinga.....	105

Rozdział XVII	
w którym Xiao Long ściga lisicę i odkrywa przeraźliwe skutki jej czarów.....	111
Rozdział XVIII	
o tym, czego Xiao Long się dowiedział i nauczył od mistrza Qinga.....	115
Rozdział XIX	
w którym Xiao Long zmierzyć się musi z lisimi czarami i uzyskuje niezwykłą pomoc.....	120
Rozdział XX	
o tym, jak Xiao Long najpierw przeżył rozczarowanie, potem ujrzał nieszczęście, a wreszcie nabrał podejrzeń.....	124
Rozdział XXI	
o tym, jak Xiao Long bierze sprawy w swe ręce, ale daje sędziemu Chu ostatnią szansę.....	132
Rozdział XXII	
w którym Xiao Long ogląda nieboszczyka i udaje się do jego domu, gdzie spotyka pewnego Luia i otrzymuje niezwykły podarek.....	138
Rozdział XXIII	
w którym dokonuje się pierwsza zemsta, a Xiao Long podejmuje wielkie ryzyko i odkrywa ponurą tajemnicę.....	145
Rozdział XXIV	
w którym obywatele miasta znajdują potwierdzenie swych przypuszczeń, zbrodnie układu prawie wychodzą na jaw i dokonuje się druga zemsta.....	153
Rozdział XXV	
w którym upokorzony Xiao Long szuka wyjścia z matni i dokonują się kolejne zemsty.....	159
Rozdział XXVI	
o tym, jak Xiao Long mozolnie wypełniał obowiązki i podziwiał krajobraz, a także jakie są skutki wzdychania do niechętniej muzy.....	168
Rozdział XXVII	
o tym, jak Xiao Long otrzymuje zadanie specjalne, i o tym, jak nie wszystkim się to spodobało..	174
Rozdział XXVIII	
o tym, jak Xiao Long przemierzał dawne sadyby barbarzyńców, by porozmawiać z kapralem Hu Mingiem, oraz o tym, czego się odeń dowiedział.....	182
Rozdział XXIX	
w którym jawa i sen ukazują rzeczy straszne, Xiao Long się miota, pomoc przychodzi z najmniej oczekiwanej strony, a los niespodzianie pokazuje drogę ucieczki.....	194
Słowo o transkrypcji.....	206

Rozdział I

w którym świeżo upieczony bakalarz Xiao Long ulega własnym namiętnościom i pakuje się w cudze kłopoty.

Ciszę jesiennego popołudnia zburzył podejrzany dźwięk. Xiao zatrzymał konia i zaczął nasłuchiwać. Po chwili nie miał wątpliwości – działo się coś niedobrego.

Młodzieńca od miasta dzieliło już tylko kilka li, ale okolica wciąż pozostawała odludna. Na prawo od wijącej się pośród łagodnych wzniesień drogi rosły kamforowce, na lewo ciągnęły się pola ryżowe, zrudziałe już o tej porze roku. Dalej sterczały zwichrowane szczyty Gór Szczęścia. Bakalarz marzył właśnie o kulinarnych i cieleśnych uciechach czekających go w Yangzhou, kiedy tuż przed zakrętem wierzcho-
wiec jął strzyc uszami.

Xiao, gdyby potrafił, też zastrzygłby swoimi. Gniewne posapywania, trzaski i świsty nie ustawały. Przełknął ślinę i zeskoczył w czerwony pył drogi. Nie miał bro-
ni, a jedynie nadzieję, że w razie czego zdąży dopaść konia i czmychnąć z powrotem.

Odziany w biel chłopak nie zauważył bakalarza. Dysząc i złorzecząc, siekł wą-
skim a cienkim mieczem gałęzie kamforowców. Szło mu tym łatwiej, że przewyższał
Xiao o dwie głowy. Był za to o połowę chudszy. Sił miał jednak pod dostatkiem,
o czym świadczyły rozmiary spustoszenia, jakie zdążył poczynić w lesie.

Widząc, że sprawca zamieszania jest odeń młodszy, Xiao poczuł przypływ śmia-
łości. Poprawił bakalarski czepiec, zapiął rozchełstany od upału chałat i zdecydowa-
nym krokiem postąpił naprzód.

– A cóż to wyrabiasz, hultaju? – zawołał gromko. – Twój to las? Godzi się dobra
cesarza, oby żył dziesięć tysięcy lat, ciąc niczym polne chwasty? Uchodź stąd, ale
już!

Zwymyślany opuścił na chwilę oręż i ciężko sapiąc, spojrział samozwańczemu
strażnikowi cesarskich lasów w oczy. Bakalarzowi zrzędła mina. Wyrazu twarzy chu-
dzielca nie podjąłby się ująć w słowa.

– Zaniechaj, chłopcze, tego dzieła zniszczenia – zdołał wydukać, zbity z tropu. – Jeśli zobaczy cię jakiś uczony na urzędzie, postąpi srożej niżli ja...

Wysoki chłopak nie odpowiedział, tylko wzniósłszy broń, ponowił strącanie gałęzi. Xiao zmełł w ustach przekleństwo i zawrócił po konia.

Dopiero kiedy zza któregoś kolejnego zakrętu wyłoniły się mury Yangzhou, przestał myśleć o oszalałych oczach nieznajomego.

*

Zapytany o dom uciech przechodzień nie wahał się ani chwili. Podziwiając połyskujące w pożegnalnym blasku dnia zielone dachówki, zdobiące okapy wrót wystawnej siedziby kurtyzan, Xiao w duchu jeszcze raz podziękował opasłemu mężczyźnie za wskazówki. Przybytek kwiatów i wierzb musiał być najlepszy w całym Yangzhou.

Poczerwiała ze starości gęba stręczycielki rozjaśniła się, kiedy bakalarz dobył z rękawa pierwszą sztukę srebra. Posadzony w Hibiskusowej Altanie o wielobarwnych filarach, otoczonej donicami z wonnym kwieciami, mógł wreszcie odpocząć.

– Długo jesteś, mój panie, w podróży? – zagadnęła stręczycielka Wang, jednocześnie bijąc służkę po ciemieniu za uронienie kilku kropel jaśminowej herbaty. – Widzę, żeś utrudzony.

– Z egzaminów wracam – wyjaśnił Xiao, wymownym gestem poprawiając czepec. Stara pojęła w lot:

– Najszczęśliwsze gratulacje! Wielki to zaszczyt gościć cesarskiego urzędnika w skromnych progach Domu Wiosennej Świeżości. Zaraz każę podgrzać dzban chryzantemowego wina.

– To zbyt wiele – zachnął się bakalarz. – Do wysokich stanowisk daleka jeszcze droga przede mną. Dopiero postawiłem pierwszy krok. Wprawdzie duży, niemniej pierwszy.

– A gdzie dom rodzinny? Chyba nie w Yangzhou, bo o tak znakomitym młodzieńcu musiałabym usłyszeć – przymilała się Wang.

– Pochodzę z prowincji Liaodong, w której stolicy zdawałem egzaminy.

– Cóż zatem sprowadza aż tutaj? – zdumiała się stręczycielka. – Chyba, panie, nie zbłądziłeś?

– Nadłożyłem trochę drogi, to prawda. – Xiao uśmiechnął się i siorbnął herbaty. – Ale tylko o kilka dni opóźni to mój powrót do rodzinnego Hengshanu. Sława prowincji Jiangbei sięga daleko poza jej granice i domaga się świadectwa własnych oczu. I rąk – dodał, zerkając na służkę. Apetyczne to było dziewczę, o twarzy w kształcie pestki arbuza i cudnie wykrojonych brwiach. Jedynie ślady po ospie cokolwiek ujmowały jej urody.

Łakomy wzrok gościa nie uszedł uwagi Wang.

– Poczekaj, panie, aż ujrzysz Nefrytową Wazę – rzekła poufale. – Ta tutaj to kuchenne ścierwo, kurtyzaną nie zostanie, chyba że we łbie poprzestawia mi się na starość dokumentnie i zapomnę, jak się interes prowadzi. Poczekaj, a nie rozczarujesz się.

Do altany weszły trzy następne służki, niosąc strawę i wino. Na stole wylądowały miseczki z gotowaną wieprzową głowizną, pieczoną baraniną, duszonym kurczakiem i rybą na parze. Nadto przegryzki do wina, suszone mątwy i krewetki, marynowane pędy bambusa oraz kluseczki z prosa. Xiao nawet nie opłukał pałeczek w herbie, tylko od razu jął pochłaniać jadło.

Wang klasnęła dwukrotnie. Wnet zjawiała się śpiewaczka z księżycową lutnią w oprawie z wężowej skóry. Odziana w niebieski kubrak i zieloną spódnicę wyszywaną w ptaki wyglądała jeszcze powabniej niż ospowata służka. Rozbrzmiała delikatna muzyka. Stręczycielka zabawiała Xiao rozmową, a on odpowiadał półsłówkami między jednym kęsem a drugim.

Nie spałaszował nawet połowy rarytasów, gdy zza muru dobiegły głośnie pokrzykiwania i tętent kopyt. Harmider zagłuszył słowa Wang. Bakalarz nasrożył się na tak obcesowe zakłócanie wieczery. Widząc, jak marszczy brwi, stara czym prędzej dolała mu wina.

– To gwardia gubernatora. Im wolno mącić spokój na ulicach choćby głuchą nocą, ale biada komu zwykłemu hałasować pod siedzibą Czerwonego Tygrysa...

– A po cóż tak gromadnie tu zjechali? – zainteresował się Xiao. – Ze słuchu wnoszę, że było ich dobre ćwierć setki!

– Nic nie wiesz, panie, boś przyjezdny, lecz całe miasto huczy. – Stara wbrew własnym słowom nachyliła się i konfidencko ściszyła głos. – Płatnerz tutejszy, najlepszy w prowincji, mistrz Zhao Quan, dostał był zlecenie na miecz od samego gubernatora. Zadatek wziął, ale potem z robotą cokolwiek zwłóczył. Rok ognia w kuźni nie rozniecał...

– Rok?! Toż ten płatnerz o łamanie palców się prosi!

– Gorzej, mój panie. Gubernator długo o zleceniu nie pamiętał, kiedy jednak sobie w końcu przypomniał, posłał gońca do mistrza Zhao. Ten wziął się wreszcie do pracy, ale coś nieskoro mu szło. Drugiego gońca Czerwony Tygrys posłał...

– Czy temu Zhao życie niemiłe?

– Mistrz wreszcie pracę skończył i pojechał z mieczem do Beizhou, stolicy prowincji. Wczoraj tylko jego pacholek wrócił.

– Czyżby...

– Tak, panie. Gubernator w gniew wpadł, że tyle musiał czekać, i miecz próbując, zdjął mistrzowi Zhao głowę jednym cięciem.

– Nie do wiary!

– Oby skolopendra długa jak kij od szczotki ugryzła mnie w zadek, jeśli kłamię! Biedna dusza Zhao Quana pęta się teraz po zaświatach, nie mogąc znaleźć drogi. Na domiar złego gubernator, czy to z niepamięci, czy złośliwości ogłosił, że zadatek

wniósł był za dwa miecze, i od rodziny zwrotu chce żądać. Wieści te przyniósł pacholek. Wymknął się z pałacu Czerwonego Tygrysa i wrócił, by ostrzec rodzinę. Wierny sługa! Powiadają, że uciekł tej nocy.

– Więc ci gwardziści...

– Dziś rano przyjechali po rodzinę płatnerza. Syn jego, co go Wybuchałym Bambusem zwa, pono zemstę...

Bakałarz uciszył stręczycielkę ruchem ręki.

– Czy ten chłopak – zapytał powoli – nie jest aby wysoki a chudy i mieczem sprawnie nie robi?

– A tak, wysoki jest, panie, nie po ojcu jednak. Mistrz Zhao kurdupel był pokraczny.

– Chyba widziałem go dziś za miastem – mruknął Xiao. Kiedy Wang wytrzeszczyła oczy, pokrótce opowiedział jej o spotkaniu na drodze.

– To musiał być on, nikt inny! – Pokiwała głową. – Zniknął wczoraj bez śladu, tylko broń z warsztatu ojca wziął. Jak go jeźdźcy Czerwonego Tygrysa uzbrojonego znajdą, żywy nie ujdzie.

– Trzeba mu przysiąc nad księgami, zdać egzaminy cesarskie, a nie myśleć o płóchej zemście, bo życia szkoda – westchnął sentencjonalnie Xiao i odstawił miseczkę. Wang klasnęła trzykrotnie. Jak spod ziemi wyskoczył kolejny sługa i łącząc dłonie w geście szacunku, pokłonił się bakałarzowi.

– Zaprowadź gościa do komnat Nefrytowej Wazy i dopilnuj, by wszystko stało się po jego myśli.

Pożegnawszy się z Wang, młodzieniec ruszył przez wypiełgowany ogród, teraz spowity wieczornymi cieniami i rozbrzmiewający owadziim rozhoworem. Kurtyzana mieszkała w pawilonie otoczonym rabatkami róż i piwonii. Zostawiwszy służę pod drzwiami, wszedł do środka. W świetle olejnych lampek ukazały mu się stojące

wzdłuż ścian jedwabne parawany, malowane w cztery piękności wyobrażające pory roku.

Nie czekał długo. Szelest bambusowej zasłony ogłosił przybycie Nefrytowej Wazy. Oto, co ujrzał Xiao:

złote szpile wpięte w gęste pukle
biały kaftanik na gibkim niczym wierzbina ciele
kwietny wzór na fioletowej spódnicy okrywającej krągłe biodra
maleńkie stopy w czerwonych pantofelkach haftowanych w kaczuszki
umalowane oblicze, które chyba i bez makijażu zdolne byłoby zachwycić.

Rozsiewając wokół woń piżma, dziewczyna złożyła ukłon i kryjąc twarz za wachlarzem, poprosiła gościa, by spoczął na krześle. Potem, ujawszy smukłymi palcami porcelanową czarkę z wonną herbatą, nachyliła się ku Xiao.

Jej bliskość przyprawiła bakałarza o słodki dreszcz.

Jak powiada poeta:

*Gdy zbiorą się chmury brzemienne,
Błyskawic blask niebo rozjuszy,
Dudniący grom rozgrzmi potężnie,
Rzęsisty deszcz wtenczas spaść musi.*

*

– Nie omieszkaj, panie, wspomnieć o przymiotach mych kurtyzan swym krewnym i przyjaciółom. – Stara Wang zgięła się w ukłonie. Siedzący w siodle Xiao uśmiechnął się i już miał odpowiedzieć, kiedy ich uszu dobiegł zgiełk. Spojrzeli oboje w głąb ulicy.

Uliczni handlarze w pośpiechu zwijali stoiska, kolejki porannych klientów jadłodajni rozpierzchały się, lektyki skręcały pod ściany, bo oto całą szerokością drogi sunęli gwardziści gubernatora. Szyszaki z pióropuszcami, długie lance i płytkowe zbroje

połyskiwały w słońcu, kopyta ciężkich rumaków wzbijały kurz, wiatr przywiewał odór potu. Bakalarz cofnął konia w cień bramy, Wang schroniła się za skrzydłem wrót.

Xiao zmrużył oczy, gdy wraz z parskającymi wierzchowcami nadciągnął rój much. Wreszcie nawała jeźdźców przerzedziła się. Nie zdążył odetchnąć z ulgą, bo wtem ujrzał przerzucone przez grzbiet jednego z pędzonych na końcu luzaków ciało.

Młodzieńcze, chude, w zakrwawionym białym chałacie. I bezgłowe.

– O! Nieba... – wybełkotał. Odwrócił się do stręczycielki. Przytaknęła smętnie.

– Mówiłam, że nie ujdzie żywy.

Nie tylko oni dojrzeliby trupa. Wielu przechodniów i przekupniów już pędziło ile sił w nogach, by nadążyć za oddalającą się kawalkadą. Xiao skinął starej Wang na pożegnanie i powodowany niewiadomym impulsem popędził w ślad za gwardzistami.

Niebawem jeźdźcy zatrzymali się pod okazałym domem. U bramy wartował gubernatorski żołnierz. Jeden z konnych wszedł do wnętrza, inny zdjął ciało z wierzchowca i zawłókł pod wrota.

Po chwili z domu wypadła kobieta, a za nią trzy dziewczęta. Widząc zwłoki, rzuciły się na kolana i bijąc się po twarzy, podniosły lament. Tłum gapiów gęstniał z każdą chwilą. Z wysokiego siodła bakalarz miał dobry widok na rozdzierającą scenę.

Wreszcie z wnętrza wolnym krokiem wytoczył się dostoyny mandaryn we wzorzystej jedwabnej sukni, czepcu ze skrzydełkami i ze złożonym wachlarzem w dłoni. W ślad za nim dreptał sługa z parasolem. Ujrzawszy zwłoki chłopaka, gubernatorski urzędnik gromkim głosem nakazał wprowadzenie rodziny z powrotem do domu. Potem przywołał dowódcę oddziału. Ten chwacko zeskoczył z konia i pokłonił się nisko:

– Czcigodny, zwiad nasz po okolicy nie przyniósł rezultatu w postaci ujęcia zbiegłego sługi. Znalezliśmy jednak ciało Zhao młodszego, którego rozpoznaliśmy z opisu. Trafność naszych spostrzeżeń potwierdziły łzy jego krewnych.

– Nie wy go zatem ścięliście? – surowo spytał mandaryn.

– Nie, czcigodny. Znalezliśmy jego ciało przy drodze, sześć li za miastem. W straszliwej walce musiał polec, bowiem drzewa wokół były bardzo pokaleczone. Głowy mimo usilnych starań...

– Czcigodny! – niespodziewanie dla samego siebie wtrącił się Xiao. Na samą myśl, że jego wiedza może okazać się przydatna w istotnym śledztwie na wysokim szczeblu, aż drżał podekscytowany. – Nie było żadnej walki.

Kiedy spoczął na nim groźny wzrok urzędnika, o mało nie pożałował swej gorliwości. Przywołany skinieniem palca zakończzonego długim paznokciem poprowadził konia przez tłum. Gdy tylko tłok wokół zelżał, zeskoczył na ziemię i zgiął się w pokłonie.

– Nazwisko moje brzmi Cheng, imię osobiste Chang, społeczne zaś Xiao Long. Jestem nędznym bakałarzem z Hengshanu, o czcigodny.

– Mów – oschle rzucił mandaryn.

– Tego dziś już martwego człowieka spotkałem wczoraj na drodze do Yangzhou. Ścinał gałęzie kamforowców i mimo mych usilnych namów nie poniechał swej szkodliwej działalności.

– Czy byłeś obecny przy śmierci Zhao młodszego?

– Nie, czcigodny.

– Skąd zatem wiesz, że walka nie miała miejsca już po twym odejściu?

Xiao poczuł, że traci grunt pod nogami.

– Nie wiem, o czcigodny, gdyż mój umysł słaby jest i mętny, wiem jeno, że ścinał on gałęzie własnoręcznie...

– Wystarczy. Pojedziesz z nami do gubernatora.

Xiao otworzył usta, by zaprotestować, lecz jeden z gwardzystów już stanowczo nakazał mu wracać na siodło, a drugi do wędzidla jego wierzchowca przywiązał sznur i zaczepił sobie o lęk. Widząc, że słowa ważą tu mało, bakalarz zagryzł wargi i pograżył się w ponurym milczeniu.

Tymczasem z wnętrza domu dochodziły rozpaczliwe biadania i lamenty. Wreszcie na ulicę wypchnięto matkę z córkami. Za nimi wybiegły służące, żołnierze jednak kopniakami zagnali je z powrotem do środka. Opierające się kobiety wsadzono przymocą na konie i związano. Xiao współczuł im, ale nie mógł nadziwić się tym protestom. Zamiast okazać władzy posłuszeństwo i wszystko spokojnie wyjaśnić, tylko pogarszają sytuację, pomyślał z dezaprobatą.

Owinięte w płótno ciało chłopaka przełożono przez koński grzbiet. Orszak z krytym powozem mandaryna w środku wreszcie ruszył. Do samej północnej bramy towarzyszył im pochód mieszkańców. We wrzawie setek głosów dało się słyszeć wyrazy współczucia, ale też złorzeczenia. Rodzina płatnerza miała widać tyle samo przyjaciół, co wrogów.

Jeśli chcecie się dowiedzieć, co czekało bakalarza u celu podróży, przeczytajcie następny rozdział!

Rozdział II

o tym, jak Xiao Long stanął przed obliczem gubernatora Czerwonego Tygrysa i za co został sprzed tego oblicza usunięty.

Kiedy po południu trzeciego dnia na równinie zamajaczył samotny stożek Błogosławionej Góry, a pod nim plama stolicy prowincji Jiangbei, Beizhou, Xiao miał już serdecznie dość całej tej awantury. Wychowany w cieniu Świętej Góry Heng, podróżując po nizinach, czuł się nieswojo. Jego niezadowolenie potęgowały jeszcze noclegi w podłych zajazdach, wszechobecne muchy, wojskowe maniery, takież smród oraz lament udręczonej rodziny płatnerza. Siedziba gubernatora, choćby miał nim być furiat nadużywający miecza, wydawała się przy tym niebiańską krainą.

Beizhou przenosiło Yangzhou rozmiarami co najmniej trzykrotnie. Kiedy orszak podjechał bliżej, Xiao musiał uznać, że nawet jego rodzinny Hengshan nie dorównuje tej metropolii potęgą. Przedsmak tego, co zastaną na miejscu, otrzymali już, przebijając się przez rozległe i ludne przedmieścia. A oto, co ukazało się oczom bakałarza, kiedy podjechali pod mury Beizhou:

potężne kamienne bloki przewyższają człowieka
gliniane cegły zdają się sięgać pod samo niebo
na bastionach i między nimi kręcą się straże
utworzona z ujarzmionych wód rzeki fosa opływa mury, dokąd sięgnąć okiem
sama rzeka, szumiąc, wpływa zakratowanym otworem do miasta
obok zionie graniasta brama, zwieńczona basztą o blankowanym szczycie
ogromne, wzmocnione żelazem wrota zdobią płaskorzeźby bezszponnych smoków

z klateczek rozwieszonych ku przestrodze nad bramą wyzierają opuchłe głowy skazańców

w obie strony długiego na kilkanaście kroków przejścia prą hałaśliwe tłumy handlarzy, kupujących i zwykłych przechodniów

za bramą zaczyna się ruchliwa arteria, prosta jak z kuszy strzelił i ujęta w dwa rzędy chodników

wzdłuż niej ciągną się parterowe domy, drewniane lub z suszonej cegły

w perspektywie drogi widać jeden za drugim ceremonialne łuki, pod którymi tłumy zdają się jeszcze gęstnieć

i domy, i łuki wieńczą połyskujące porcelanowe dachy o zakrzywionych ku górze krawędziach

z podcieni dobiegają nawoływania kupców i straganiarzy, niedowierzających chyba skuteczności samych szyldów ani woni i widokowi towarów

w oddali, na wskroś chmar owadów i oparów ludzkiej ciżby, widać rozłożyste, wywinięte na krawędziach niczym skrzydła bażanta w locie, niebieskie dachy pałacu naczelnika prowincji.

Gubernatorskie znaki i buta rozpychających się bezceremonialnie żołnierzy sprawiły, że palankiny i lektyki, których po głównej arterii sunęło chyba więcej niż w całym Yangzhou, z wyprzedzeniem ustępowały im z drogi. U bram pałacu, których prócz warty strzegły dwa olbrzymie kamienne lwy, orszak się rozdzielił. Do gubernatorskich ogrodów wszedł tylko mandaryn w towarzystwie kilku oficerów oraz jeńcy.

Brukowana alejka wiła się pośród kwiatów i krzewów niczym smok, którego wyobrażała. Tam, gdzie wydłużone cielsko przechodziło w rozdziawioną paszczę, zaczynały się schody prowadzące do ociekającego przepychem Pawilonu Wiecznej Mądrości, jednego z licznych budynków tworzących siedzibę władz prowincji.

Wewnątrz panował błogi chłód. Podtrzymujące dach drewniane filary pokryte były symbolami szczęśliwości i długowieczności, zwoje zwisające ze ścian przedstawiały wytwory sztuki kaligraficznej poprzednich gubernatorów, jaśniały wspaniałe lampiony, na swe zadania czekali słudzy z bronią. Xiao poczuł ulgę, widząc, że nakryty tygrysią skórą tron gubernatora jest pusty. Nie zdążył się jednak tym faktem na-

cieszyć, kiedy rozbrzmiał gong i w towarzystwie urzędników do sali wszedł Czerwony Tygrys.

Odziany w purpurową, haftowaną szatę z nefrytowym pasem i czepiec z połyskliwym guzem, gubernator był już posunięty w latach, lecz ruchy wciąż miał energiczne i pewne. Dłoń o długich na pół piędzi, zakrzywionych paznokciach wspierał na inkrustowanej klejnotami głowicy miecza w lśniąco czarnej lakowanej pochwie – ani chybi roboty mistrza Zhao. Wieloletnia posada rządowa nie zmiękczyła zaprawionego w bojach ciała; znać było, że ten dziś pochylony, a niegdyś słusznego wzrostu mężczyzna zasluzenie cieszy się sławą pogromcy, który gołymi rękoma ubił był tygrysa-ludojada na przełęczy Jingyang.

Zasiadłszy na tronie, długo i z lubością patrzył, jak przybyli, klęcząc, biją mu pokłony. Wreszcie przestał gładzić posiwiałą bródkę i władczym gestem zakończył część ceremonialną.

Mandaryn postąpił naprzód.

– Czcigodny gubernatorze, obyś żył tysiąc lat! Oto rodzina tego psa, płatnerza Zhao. Niecny syn jego nie dożył niestety sprawiedliwej kary z twojej ręki. Przywieźliśmy ciało oraz świadka, który rzucić może światło na okoliczności tej niefortunnej śmierci. Osądź w swej mądrości, czy twoi nędzni poddani dobrze wywiązali się z zadania.

Wzrok władcy spoczął na jeńcach. Cała czwórka przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. Kobieta ledwo nie mdlała, dziewczęta wypłakały już wszystkie łzy.

Czerwony Tygrys skinął palcem na brzuchatego sługę o eunuszej aparycji i wyszeptał do nachylonego skwapliwie ucha kilka słów.

– Czcigodny gubernator pyta, gdzie jest drugi miecz. – Grubas wyprostował się.

Odpowiedzą było milczenie. Żona Zhao Quana pokręciła ze zdziwieniem głową; strach, a może płacz, zatkał jej gardło. Padło drugie pytanie:

– Co macie na swe usprawiedliwienie?

Znów zapadła cisza, tylko jedna z córek łkała cicho.

Eunuch jeszcze raz nachylił się do gubernatora.

– Jeśli nie wyjawicie miejsca ukrycia drugiego miecza – ogłosił po chwili – wasz majątek zostanie skonfiskowany. Jeśli nie wytłumaczycie się ze swego niecnego zamiaru uśmiercenia gubernatora, czeka was zgon w męczarniach.

Sala rozbrzmiała rozdzierającym szlochem nieszczęsnych kobiet. Xiao najchętniej zakryłby uszy dłońmi, gdyby nie dworska etykieta. Czerwony Tygrys dłuższą chwilę beznamietnie obserwował wijące się na podłodze kobiety. Wreszcie skinął dłonią. Słudzy w okamgnieniu wyprowadzili je na zewnątrz.

Gubernator spojrzał teraz na Xiao. Mandaryn w krótkich słowach zreferował okoliczności śmierci Zhao młodszego i informacje od bakałarza. Pod badawczym wzrokiem Czerwonego Tygrysa młodzieniec czuł się jak tłusta cyweta na straganie. Próbował opanować drżenie rąk, ale na próżno.

– Przywołać mnicha – rozległ się ochrypły głos, naznaczony ciężkim południowym akcentem. Zaskoczony bakałarz podniósł oczy. Oto przemówił władca. Sam.

Do sali wszedł odziany w czarną opończę mężczyzna. Długie, lśniące włosy, upięte wysoko na czubku głowy za pomocą czarnej zapinki w kształcie dłoni, gładka twarz i gibki krok znamionowały młody wiek. Znowu odezwał się eunuch:

– Mnich Gan Bao z Klasztoru Wiekuistej Sprawiedliwości przybył tu wczoraj, zajeżdżwszy konia na śmierć, z głową młodszego Zhao, który wedle jego słów nastawał na życie czcigodnego gubernatora. Głowę zbrodniarzowi ściał po długiej walce w lesie kamforowym, w trakcie której poczynili w przyrodzie wielkie spustoszenie. – Mnich skłonił się, potwierdzając słowa grubasa. – Swym poświęceniem dał dowód najwyższej wierności cesarzowi i gubernatorowi, oby przeżyli nas wszystkich.

Xiao wyczuł na skroni kroplę potu. Wpadł niczym krab we wrzątek. Na znak od Czerwonego Tygrysa przełknął ślinę i odpowiedział najostrożniej, jak umiał:

– Czcigodny gubernatorze! Zechciej nie zamykać czcigodnego ucha na słowa swego nędznego sługi. Prawdą jest, że spotkałem na drodze do Yangzhou syna płatnerza Zhao, oby się był nigdy nie narodził, jak strącał gałęzie drzew kamforowych. Nie zareagował na moje połajanki, a ja odjechałem do miasta, by na drugi dzień ujrzeć jego martwe ciało. Nie twierdzę, jakoby do walki nie doszło; twierdzę jedynie, że wiele z owych gałęzi strącił samodzielnie. Osądź w swej niezmierzonej mądrości prawdziwość słów niegodnego człowieka, jakim jestem, i wydaj sprawiedliwy wydykt.

To rzekłszy, przycisnął czoło do kamiennej posadzki i czekał.

Usłyszał kroki, a potem poczuł ciężkie dłonie na ramionach. Serce stanęło mu w piersiach, czas stanął w miejscu. Xiao poczuł, jak unoszą go silne ręce. Nie stawiał oporu – bo i na cóż by się to zdało?

Kiedy bezwolnego jeńca postawiło na nogi dwóch oficerów, w sali nie było już Czerwonego Tygrysa, mandaryna ani mnicha. Oficerowie ustąpili miejsca sługom gubernatora i również wyszli. Pozbawionego nagle towarzystwa znajomych osób bakałarza poprowadzono w głąb rezydencji. Szedł jak poruszana sznurkami kukła.

Minęli kilka pawilonów i kilkanaście altan, bajecznie wkomponowanych w precudnej urody ogrody, klomby, stawy i kaskady, by wstąpić na koniec do pawilonu ukrytego za gęstym zagajnikiem cyprysowym. W czerwonym świetle Xiao dostrzegł gubernatora i mnicha w otoczeniu sług oraz rzuconą na ziemię rodzinę Zhao Quana. Ciałami kobiet wstrząsał bezgłośny szloch. Wnętrze pomieszczenia rozświeślały płomienie buzujące pod stojącym w centrum kotłem z brązu. Naczynie rzeźbione w osiem trygramów miało średnicę długości ramienia mężczyzny. W środku bulgotała ciemna, spieniona woda. Bakałarz, który po cichu liczył na symboliczną chłostę i wypędzenie, struchlał na myśl o mękach, które najpewniej szykował pojmanym gubernator.

Widząc, że są w komplecie, Czerwony Tygrys skinął na grubego sługę. Ten zniknął na chwilę, by wrócić z pudłem z malowanego drewna. Gubernator rzekł:

– Zdradziecki pies Zhao i jego niegodny syn w skrytości zamierzali ugodzić poprzez moją osobę w Syna Niebios, oby żył wiecznie, i w jego błogosławione panowanie nad Cesarstwem Środka. Ale Niebiosa pokierowały moją ręką i ręką mnicha Gana Bao. Dziś zadbam o to, by dusze zbrodniarzy nigdy nie zaznały spokoju.

Sługa odemknął wieko. Nawet z odległości kilkunastu kroków Xiao poczuł smród gnijącego mięsa. Przerażony śledził, jak władca teatralnym gestem sięga do pudła.

Kobiety wydały z siebie piskliwy jęk. Wstrząśnięty bakałarz pojął, że widzi zniekształconą twarz płatnerza Zhao. Chciał zamknąć oczy, ale nie potrafił. Nie umiał.

Czerwony Tygrys podniósł głowę wysoko w górę, a następnie cisnął do kotła. Wrzątek prysł na boki. Głowa na chwilę zniknęła pod powierzchnią, by wyskoczyć z powrotem i wirując w pianie, wpatrzeć się martwym wzrokiem w belki sufitu.

– Oddzielę ciało od kości, zetrę w pył i każę zakopać na czterech krańcach prowincji – wychrypiał gubernator, znów sięgając do pudła. W straszliwym olśnieniu Xiao zrozumiał na jedno uderzenie serca wcześniej, co zobaczy.

Oczy chłopaka wciąż miały tamten szalony wyraz.

Kolejny rozbryzg zrosił podłogę. Żona mistrza Zhao zemdląła, bakałarz zmusił się do zaciśnięcia powiek. Taniec dwóch głów w bulgoczącej cieczy odstręczał, ale i niezdrowo fascynował.

– Jeśli nie zdradzicie miejsca ukrycia miecza, planów zamachu na gubernatora oraz nazwisk członków spisku, czeka was ten sam los – beznamiętnie powiedział gruby sługa. Jedna z córek rzuciła się do nóg władcy, ale poza szlochem nie potrafiła nic z siebie wydusić.

– Bambusowe kije rozwiążą wam języki – prychnął Czerwony Tygrys. Lamenty wyprowadzanych kobiet wnet ucichły w oddali.

Xiao oddałby swój bakalarski czepiec za łyk niebiańskiego eliksiru niewidzialności. Wzrok gubernatora spoczął na nim po raz kolejny.

– No i co teraz powiesz, bakalarzu z Hengshanu? Przykład tych głupich i nikczemnych żółwici nie skłania cię do przemyślenia swych zeznań?

Powiedzieć, że Xiao struchlał, byłoby policzkiem zadany prawdzie. Młodzieniec zmoczył chałat.

– Czcigodny – rzekł trzęsącym się głosem – jestem nic nieznaczącym człowiekiem, ale wiernym poddanym cesarza, powiedziałem prawdę i nie wiem, czym zasłużyłem sobie na nieufność.

Czerwony Tygrys dłuższą chwilę trawił te słowa.

– Jak wyglądał miecz Zhao młodszego? – zapytał wreszcie.

Bakalarz o mało nie zemdlął ze szczęścia. Podziękował w duchu Niebiosom za możliwość wykazania się użytecznością i odpowiedział gorliwie:

– O czcigodny, miecz był niepozorny, pozbawiony ozdób i niezbyt długi, lecz bardzo ostry. Niewielki ruch wystarczał, by na ziemię spadały konary dorodnych kamforowców. Wielka to szkoda dla przyrody...

– Ganie Bao, co się stało z mieczem? – przerwał mu gubernator, zwracając się do mnicha.

Ten wyszedł z cienia i pokłonił się nisko.

– Czcigodny, w ferworze walki nie poświęciłem oględzinom miecza należytego czasu – rzekł miękkiem, głębokim głosem. – Z wprawnym, choć młodym szermierzem miałem do czynienia. Przed ostatnim ciosem, którym śmierć spiskowcowi zadałem, oręż wytrąciłem rywalowi z ręki i nie mogłem go potem odnaleźć pośród bujnej roślinności.

Nastąpiła długa cisza, wypełniona tylko bulgotaniem warzącej się w kotle ohydnej kipieli. Ważyły się i losy Xiao. Po raz setny wyrzucał sobie, że wyjawiał mandarynowi spotkanie przy drodze. Po co mieszałem się w cudze sprawy? – pytał swojego wcielenia sprzed kilku dni. Bakalarski czepiec miast mądrości przyniósł mi jeno zgubną pewność siebie. Trzeba było siedzieć cicho.

– Posłać oddział do odnalezienia miecza. Bakalarza zamknąć w Pawilonie Leżących Chmur. Mnicha w Pawilonie Szumiących Wierzb – ogłosił Czerwony Tygrys i opuścił pomieszczenie.

Wyprowadzany Xiao skrzyżował spojrzenie z Ganem Bao. We wzroku mnicha, o dziwo, nie było niechęci. Siedząc w ascetycznej, ciasnej komnacie z wąskim okienkiem wychodzącym na mrok dziedzińca, bakalarz jeszcze długo próbował zrozumieć znaczenie tego smutnego, lecz życzliwego spojrzenia.

Aby dowiedzieć się, co kryło się za tym spojrzeniem, czytajcie dalej!

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)